

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 20 marca 1926 roku.

Nr. 12.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

12)

BEZ SERCA.

— Jest królewicz — zadrwiła w myślach — który spłynął z szafirów jeziora z nadalpejskich obłoków, jako bożek o uczuciach z innej planety!

Dziękuję — odrzekł najwyraźniej oniesmielony, stając przy jej stoliku.

Spojrzała poraz pierwszy na niego i najniespodziewaniej, dla samej siebie w myślach zawyrokowała:

— Tiens, tiens!

— Jestem Jan Lerche z Warszawy.

Skinęła wyniośle głową.

Bożek bez nazwiska i bez hierarchicznego stempla! Jan Lerche z Warszawy! Skowronek nadwiślański! Ha, ha.

— Jakżeż te nasze marzenia modyfikuje życie! Trzeba jednak przyznać, że to wcale, wcale przystojny chłopiec ten „skowronek” — z musu przyznała mu w myślach.

— Mam przyjemność znać panią z widzenia już od bardzo dawna.

— Właśnie! Tego tylko jeszcze brakowało! — drwiła w myślach.

— Mężowi pani byłem już kiedyś przedstawiony w biurze; czasami zachodzi do naszego dyrektora — recytował niezbyt pewnym głosem, najwidoczniej trochę stremowany, ponieważ jeszcze w Warszawie pani inżynierowa imponowała mu swoją pańskością.

— Proszę, niech pan siada — odrzekła ułagodzona trochę dźwiękiem jego mowy.

— Dziękuję — skorzystał z zaproszenia. — Bawię w Lucernie od wczoraj i byłem nad wszelki wyraz zdumiony, spotkawszy tu naraz panią. Wychodziła pani ze statku, nadeszłego z Brunnen i zmierzała pani do Szwajcerhofu, w którym prawdopodobnie pani zamieszkuje.

— Nie tracił pan czasu. Dowiedział się pan w ciągu jednego dnia o całym moim życiu. Warszawiacy są ciekawi.

— O! — wyrwał się — Proszę pani, mnie nic a nic nie obchodzą ludzie, którzy mnie nie obchodzą.

Pod urokiem jego młodego głosu, podniósłszy zwolna głowę po raz drugi, obrzuciła go dyskretnie spojrzeniem i z kobiecym darem drobiazgowej obserwacji w mig zaobserwowała jego silnie zarysowany niebieskawo po ogoleniu opudrowany podbródek, mocne ruchome szczęki, zmysłowy wykrój ust koralowych ze lśnięciami w uśmiechu drobnymi białymi, jak u szczeniaka, zębami i z ujmująco naiwnie patrzącymi na świat niebieskimi oczami, które z nieco zbyt jawną natarczywością ją pochłaniały.

A kiedy odwrócił się, aby dość kiepską niemczyzną przywołać garsona, zauważyła foremny kształt głowy, dobrze osadzonej na karku i harmonijny rysunek ramion i pleców.

— Wyjątkowo przystojny chłopiec! W salonach się takich nie spotyka, słowo daję — zdecydowała widocznie pod wpływem tych chochlików, zapytując jednak trzeźwo samą siebie, czy nie należało by przywołanemu przez „Janka” (Janek? O! Te chochliki!) garsonowi zapłacić za swoją konsumpcję i powrócić wnet do hotelu.

Lecz nagle ogarnął ją wstręt do jej szwajcarskiej samotności, wśród której od dwóch tygodni nie zamieniła literalnie znikim ani jednego wyrazu. Bo nawet lakoniczna kulturalna służba maszynowo spełniała wszystkie swoje zadania bez przypomnień, prawie na migi. A skromne wystawy sklepów lucerneskich także do zakupu sprawunków jej nie nęciły.

— Ostatecznie tu można zaniemówić, a prawdopodobnie wpaść w melancholję, lub poprostu oszaleć!

Od samego jej przyjazdu do tej najpiękniejszej krainy na świecie, ta pierwsza chwila w źle wentylowanej hali trzeciorzędnej gargoty wydawała jej się nieco jaśniejszą. Ta pierwsza chwila wśród dymu tanych cygar i zapachu niezbyt świeżej kuchennej frytury potraw — łagodziła trochę te męki Tantala na szafirach jeziora Czterech Kantonów z panoramą śnieżnych, w słońcu jarzących brylantowym blaskiem szczytów Rigi, Pilatusa, Uri i Engelberga.

— E! Należy mi się coś w tej pięknej wyhotelowanej Saharze. — zdecydowała, wyczytawszy jawnie rysujące się na młodzieńczej twarzy sympatycznego ziomka zaniepokojenie z powodu jej wahań. — Zostaję. Korona mi od tego z głowy nie spadnie. A zdaje się, że ten młody pazik traktuje mnie faktycznie, jak królowę.

Jaenk zamówił sobie u garsona bombę pilznera, pani Hela drugi kieliszek wermutu. Na prośbę siedzących mu tuż na karku tłustych szwajcarów z sąsiedniego stolika był zmuszony zbliżyć jeszcze swój przystawiony stołeczek do krzesła swojej sąsiadki.

Nie było na to rady. Siedziała już tak blisko niego, że szpilka pomiędzy nimi nie zmieściłaby się. Miała wrażenie, że znajduje się w kąpielni elektrycznej pod wpływem prądu z całej linii jego nogi, z którą jakby z pod coraz lżejszej powłoki cienkiego sukna — stykała się pod stołem całą długością swoich nóg i bioder. Prąd ten łaskotał dużą męską stopą jej stopę prawie nagą w lilipucim pantofelku i w ażurowej pończosze. Poza to Janek z powodu braku miejsca na stoliku zmuszony był położyć rękę na swoim kola-

nie, i ręka ta, skromnie nieruchoma, przyłgnęła jednak biernym bokiem do sąsiadujących, gorzejących pod cienkim jedwabiem kolan pani Heli. Ręka wyjątkowo przyjemna. Duża, miękka, nieco wilgotna, wrząco gorąca, o długich cienkich palcach i o małych dziecięcych krótko obciętych paznogiach, które pani Hela zaraz pierwszym spojrzeniem ogarnęła i które u niej zawsze były pierwszym zadatkiem sympatji, czy animozji. Paznogie te rysunkiem swym zdały u niej egzamin. I pani Hela, o dziwo — godziła się na ten mus nieruchomego bliskiego sąsiedztwa tych sympatycznych rąk koło swoich kolan.

Zdarzyło się jej to po raz pierwszy w życiu. Dotychczas podobnego rodzaju nieme rozmowy wszystkich swoich sąsiadów przy stołach biesiadnych potrafiła przecinać wymownym marszem przy samem rozpoczęciu niemej rozmowy.

Lecz na tych wszystkich warszawskich rautach i balach uważała taką niemą rozmowę za wykombinowany cynizm rutynistów, za rozpustną zabawkę z hazardem: uda się, czy nie uda.

Dziś przedstawiało się to wszystko zupełnie inaczej. Wprawdzie było jeszcze bardziej shocking w pięć minut po wymienieniu swego nazwiska zachowywać się w ten sposób z damą z monde'u. Lecz na obczyźnie pociągi błyskawiczne nie zatrzymują się na żadnych stacjach. Ten młody człowiek był najwidoczniej nie obyty w towarzystwach. Zresztą był tak młody, że prosto nie wiedział, co robił. Maszynista niedoświadczony, nieumiejący powstrzymać extra-pociągu. Dziecko natury. Nie „z towarzystwa“. Nie chciało się jej strofować go po macierzyńsku. Znać było, że był wzruszony, niepoczytalny, że jedynie wskutek swojej nieśmiałości był zbyt śmiały.

— Swoją drogą awantura! Jak mamę kocham, awantura! — zawyrokowała w myślach, nie usuwa-

jąc się od przyklepionego dotyku jego dłoni i ze stopą dość potulnie uległą jego stopie; bo faktycznie luźniejszego miejsca pod stołem nie było.

— Już strasznie późno! — spojrzała na zegarek swojej bransoletki — Proszę, niech pan zawoła oberkelnera.

Spełnił jej żądanie jaknajgorliwiej kilkakrotnie. Lecz mowy być nie mogło, aby pan oberkelner mógł w tym rozgardjaszu uczynić tak rychło zadość tej prośbie.

Uspokoila się, że uczyniło się w tej sprawie wszystko, co się uczynić dało.

I niema ich pieśń ciągnęła się dalej w tej niemej rozkoszy, którą nieba, czy też piekła wynalazły, jako chwilowy absynt, obeczulający wszystkie bóle, wszystkie życiowe policzki moralne i wszystkie uczucia, rany, pomyłki i zawody.

I ta pieśń bez słów, brzmiąca zewnątrz najpospoliczszymi dźwiękami potocznej rozmowy — wyśpiewywała w swojej królewskiej niemocie nadziejski hymn porozumienia się dwojga dusz. Żywiołowy hymn akordu dwóch jaźni bez nazwiska, przerastający lilipucie prawdy karlich oków mrowiska. Pieśń nad pieśniami, utkana z anonimowych atomów wszechświata, z parafji gwiazd i oceanów, które się nie rodzą i nie zamierają.

A pieśni tej, rozgrywającej się pomiędzy młodymi, wtórowały, jak dziecięce kwilenia, słowicze tony, z cudną monotonią „jodlujących“ na estradzie tyrolczyków z obnażonymi kolanami i wygorsecikowanych tyrolek w zielonych filcowych kapelusikach:

„Wenn Herz mich drückt halt gar zu zu schwer,
Dann fühl ichs Alter um so mehr“.

(D. c. n.).

TERESA SAPIEŻYNA.

NOWELA.

2)

Z Ł O T N I K.

Coś wyszło z niego i za tym płaczem kobiecym poszło w noc bezgwiezdna i mglista i wlokło za sobą z zamkniętej i nikomu nie oddanej duszy całe gamy uczuć, potrzeb i tęsknot. Płacz ów, jedyny, samotny głos usłyszany w nocy, wciskał mu się w mózg i zdawało mu się, że razem z nim płacze w nim całe jego wnętrze i podąża w ciemność, porzuca go już raz na zawsze, by za tamtym głosem iść daleko, hen! w tę jedyną noc, niosącą w sobie wraz z owym hukiem wzruszenia wszystkich władz, przez które Duch jego brał z wszechświata wszystkie zdolne swoje moce.

Hilary kończył już 28 lat, a nie pomyślał jeszcze o wyborze towarzyski życia. Trzosik pęczniał coraz bardziej, a młodzieniec pochylał się coraz więcej nad marudną palców swych pracą. Marzeniom o miłości nie był jednak opornym, zwłaszcza odkąd w sąsiednim sklepiku piekarza odbyło się hałaśliwe wesele z muzyką, tańcami, jedzeniem i piciem. Hilary, zaproszony, zjawił się w odświętnym ubraniu; dziewczęta patrzyły nań chętnie. On zbierał te spojrzenia jak kwiaty i z drzeniem składał na dnie pragnącego serca. Lecz nie zabiło ono goręcej do żadnej z rumianych twarzątek. Choć z pewnem wzruszeniem brał do tańca tę lub ową młodą dziewczynę, nie wyczuwał nic przy tem zbliżeniu. A wróciwszy nad ranem, zasnął natychmiast jak kamień.

Już słońko dawno, jaskrawo oświecało wieżycę klasztoru, gdy Hilary zasiadł do pracy. Dawno już nie był na tak huczne zebraniu, jak owo wesele u piekarza, to też oddał się rozmyślaniom i o tych ludziach i o samej rzeczy, którą było wesele, a więc o miłości, o nowem życiu nowożeńców. Jakby to było, gdyby kiedyś, kiedyś ukochana dziewczyna przyszła do niego na zawsze? Żeby przy nim bez przerwy być, jasna i uśmiechnięta, w dzień i w nocy!

Zaczął się Hilary odtąd po trochu rozglądać, czy nie zobaczy gdzie takiej, którą mógłby sobie wybrać. Nadaremnie.

W klasztorze odbył się wielki odpust. Ludzie płynęli nieustanną falą, przybysze z dalekich okolic, o innych strojach, innych twarzach i obyczajach. Hilary poszedł między nich, a tęskne oczy fioletowe patrzyły pod chustki, kapoty i kapelusze. Żadna nie przykuła jego uwagi.

Więc w którąś z bezsennych nocy wyśmiał samego siebie, wykpił bezlitośnie, gdzieś na dnie serca ze wstydem układając maleńką gorycz. To go uspokoiło, jak zimna kąpiel. Powróciła swoboda i wesołość, praca szła lekko i owocnie.

Pewnego dnia, a była to już wczesna złocista jesień, gdy z chylącemi się promieniami słońca idzie światło przepełnione złotym pyłem, a powietrze pach-

nie kurzem opadających, sytych lata liści, siedział Hilary pochylony jak zwykle nad swoją robotą, nie myśląc o niczem innym, jak o tem właśnie, co mądrze i sprawnie czyniły z kruszcem jego palce. Usłyszał w pewnej chwili, że otwierają się drzwi i wraz z świeżym powiewem powietrza ktoś wszedł i stanął przy warsztacie. Przez chwilę, nie odrywając oczu od roboty, kończył mozolny szczegół. Poczem wznosił powieki, chcąc zapytać przychodnia, jakim było jego życzenie.

Lecz nie wypowiedział ani słowa i nie wstał nawet, tylko patrzył, patrzył oczami całemi, na mgnienie oka straciwszy przytomność i świadomość, gdzie jest, czem jest i na co patrzy. Aż po chwili niebiańskiego zatracenia się w jakimś niebycie, z najgorętszego bytu pochodzącem, zrozumiał, że oto oczami dotyka oczu, a raczej niesłychanych lazurowych głębin duszy pewnej młodej kobiety, stojącej w milczeniu tuż obok. Gdy oczy swoje od jej źrenic odjął, poczuł niewypowiedziany ból jakby wszystkich trzewi, jakby mgłąca świadomość, że coś, jak ból przemożny, weszło doń na zawsze i kleszczami objęło fizyczną i moralną jego jaźń. Natychmiast potem uczuł głęboką radość, ogromną ulgę i zniżywszy oczy aż ku ziemi, na której stały jej dwie małe stopy—podniósł je już spokojne, jasne i pełne wiedzy.

Na twarz nieznajomej tymczasem wystąpił rumieniec i nozdrza kształtnego nosa zadrgały nieznacznie. Oczy dziewczęcym, czystym ruchem wysunęły się z pod jego wzroku, a ręce opięte w niezbyt piękne rękawiczki szukać zaczęły czegoś w kieszeniach płaszczyka.

— Chciałam prosić o przerobienie tej starej obrączki na pierścień z tym oto kamyczkiem. — To rzekłszy, na dłoni jak koncha różowej pokazała mu mały, jak kropla krwi, rubin.

Gdy wyszła, Hilary stał chwilę jak odurzony. Potem wypadł na ulicę i dojrzał, jak skręcała w dół. Zakręcił klucz w drzwiach i drżący cały, acz na zewnątrz spokojny, przesunął się między przechodniami, widząc oczami jedynie jej tylko postać. Zgrabna, dostatnio acz nie bogato ubrana, jasnowłosa i niebieskooka, szła prędko, nie oglądając się ani razu za siebie. On szedł cały w jedną myśl zamieniony, jak w jeden radosny krzyk: To ona! ta moja!

I po przez obcych przechodniów falę, szła między nimi świadomość tego, co się tam przed chwilą stało, co padło jak piorun jasno i mocno w dotychczas niewiedzącą jego duszę. Młoda kobieta oddalała się coraz bardziej, a on ukryty za drzewem, patrzył długo, jak malała jej postać na moście. Poczem wrócił do roboty.

Zatrzasnął drzwi i znów tak mocno objawiła mu się jej obecność, że ręką musiał przytrzymać serce, co biło jak szalone. Coś z niej tu było jeszcze, z tej nieznajomej, a już tak blizkiej, już tak wszechwładnie jedynej. Czuł w duszy niepojętą radość. Nachyliwszy się, wziął w dłonie rubin i pierścionelek, jak coś świętego, i niósł je do ust, by ucałować z mocą utajonych dotąd sił uczucia. Potem wesół jak ptak, uniesiony szczęściem, zasiadł do mozolnej roboty, którą miał dla niej do dwóch dni ukończyć.

Dzień ten, pierwszy dzień miłości, był podobnym chyba do pierwszego dnia narodzin słońca. Hilary śpiewał bezustannie, a gdy wczesny wieczór zapadł, zatrzasnął drzwi, zamknął na rygle i z kapeluszem na bakier, rękami w kieszeniach i piosenką na ustach, poszedł nad cicho płynącą rzekę.

Hilary, siedząc wysoko na kamieniu, wystającym nad przepaścią, patrzył na tratwy leniwie w obce kraje płynące, to znów na most rojny. Po przez własną jego radość świat odziewał się w niewysłowione piękno. W pamięci uporczywie jawił mu się jej nagły rumieniec i śliczne odwrócenie oczu spłoszonych. I wspomnienie to odurzało go, jak zapach kwiatów.

W oczekiwaniu powrotu nieznajomej ogarnął go taki niepokój, że nie mogło go pomieścić w swych ciasnych ramach małe mieszkanko. Tymczasem nie przyszła w zapowiednianym dniu, ani następnego.

Więc poszedł za rzekę, na drugi wyniosły brzeg, pomiędzy domy, starając się wyczuć, który z nich zakrywał obdrapanym murem jej świętą obecność. Które z tych okien kładą światło na jej jasną głowę? Sama myśl, że tu, w pobliżu gdzieś musi być, gasiła żar, i byłby błakał się tak bez końca, gdyby nie noc, która opadła na świat. Nad ranem dopiero zasnął, wśród dziennego już gwaru i stukotu ulicy.

(Dok. nast.)

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI.

POWIEŚĆ.

64) CZARNE SKRZYDŁA.

Dzieci zagnali za przepierzenie do izby Dusia, gdzie siedziały, sylabizując głośno, na pociechę ojca, z książki, słowa nowego języka. Czy nie za późno, jeżeli w płucach człowieka tak schorowanego posiepacze odbili coś jeszcze?

Dusia nie było. Później okazało się, gdzie jest. Na podwórku, przy gołębiach. Przemijał czasem przed oknami, przez wczesną smugę czerwonego zachodu, niczem słup fjołkowej ciemności.

Lenora z Tadeuszem usiedli na krzeselkach przy stole. Jedno obok drugiego. Nic prawie nie mówili, by dać dowód, że współczują chorobie i że są gotowi na każdy wypadek.

Jeść im się chciało, a jeszcze więcej czas się dłużył w tem zmartwieniu otoczenia.

Dzieci przerwały czytanekę, mrok rozsunął się już po izbie, gdy Martyzel przemówił. Wyraził jedno tylko słowo aż obrzękłe od najszczerzego przekonania: —

— Supernak...

Dusiówna zrozumiała w lot, — cały donos przez Supernaka poszedł. Pogadali o tem taktownie, w miarę i wyszli.

Dusia na podwórku nie było, ptaki w zamkniętym gołębniku już spały.

Skierowali się ku miastu, coś zjeść. Co i gdzie?

Tadeusz miał największą ochotę na Cieplika. Coś mięsnego, potem, do herbaty, może tych ciastek niedzielnych, migdałowych. Opowiedział Lenorce, jak sam rano pianę na te ciastka bił.

Przy święcie nie śmiałyby się tam pokazać. Tam, — gdzie inżynierzy, a nawet dyrektorzy w szachy grają?!

— Nie to, głupia, — odpowiedział, — tylko nie mam ani grosza.

Uszli kawałeczek w ciemnościach, wzdłuż parkanów kolejowych. Tu, daleko jeszcze od latarni rzuciła się Lenora Tadeuszowi na szyję, wtykając równocześnie do kieszeni parę papierków.

Były, jak żołąd szeregowców, — drobne i w nie-miłosierny sposób wymięte. Ucałowali się poważnie i poszli do Ciepłika.

Lenora łapała dech w piersi i całą sobą, to znów na zmianę samemi biodrami, — usiłowała swej postaci nadać fason właściwy. W znaczeniu, iż się idzie, jakby nigdy nic. Drżała ze strachu, — jakie możliwe osoby mogą się właśnie znaleźć u Ciepłika, lecz szła lekko, odważnie. Kto jeszcze? Jedna chyba tylko Kostryńniówna mogła kroczyć podobnie!

Tak śmiało, — tak śmiało, — tak śmiało!

Trafili u Ciepłika na godzinę w pewnym sensie, — żadną. Już po południu, a jeszcze bez gości wieczorowych. Zjedli swobodnie na froncie, przy szybie wystawowej. Jeden wieprzowy na dwoje, dwie herbaty i po trzy ciastka migdałowe na osobę.

Choć mało kto patrzył, Lenora dumna była i szczęśliwa. Spozierała na Tadeusza różanemi źrenicami zachwytu. Gdy wypomniał, że przecie odda jej pożyczone pieniądze, przyłożyła sobie dłonie do piersi, jak przed skokiem w przepaść niezgłębioną... Ani razu z mrozu nie siąknęła głośno, ocierając nos chusteczką, ocierając i ocierając, — zawsze po cichu.

Gdy wstawali, młodszy Ciepłik wziął się do przybijania na przeciwległej ścianie przy bufecie jakiegoś miasta za szkłem.

Tadeusz okiem tylko rzucił i powiedział: — Konstantynopol. Widzisz, — stolica Turcji, jak Warszawa u nas.

Za nic innego, już choćby za to, gdy wyszli, przytuliła się Lenora do ragłana, szepcząc: — Teraz będziemy się kochać...

Kiwnął głową, zaśmiali się i poszli. Koło owocarni, bambusów, mimo oświetlonej otchłani Erazma, jeszcze jedną pół-ciemną ulicą, za stację. Musieli po drodze minąć wiadukt.

Okazało się na pomoście, że pociąg wpada na tor i to kurjer wieczorny. Stał tu „wszystkiego“ minutę — warto było popatrzeć. Z wagonów dymiło siwą, obfitą parą.

— Ciepłym. Tam sobie nie żałują, — mój Boże! — Lenora gadała o „sypialnianych“ wagonach, cudnych, tabaczkowych, ze złotemi literami. Pragnęła kiedyś w życiu zobaczyć takie urządzenie. Nie potrafiłaby spać, — ale zobaczyć.

Tadeusz słuchał i myślał o ojcu, leaderze, jak go tłum wnosil na stację, wsadzał do takiego wagonu, w tryumfie. Żal mu się zrobiło starego. Wszystko ma, wszystko, poduszki, ciepło, sławę, — a tymczasem stoisz tu człowieku bez portek prawie i jeszcze się litujesz nad tą sławą?...

Pociąg zgrzytnął, ruszył, gwizdnął, zbiegli na dół, — dokąd?!

Lenorka wiedziała doskonale, — do Karolci Domagała, która z pewnością jest teraz na mieście.

Karolcia mieszkała w barakach, przed stawami, w tych po-kozackich koszarach. Do Szymczyków, tak zaraz we dwoje nie wypadało, do Supernaka? Niech zdechnie! Do Karolci.

Zakradli się łatwo do parterowego pokoju, ra-

czej komórki, pod schodami. Cały dom, całe baraki chrzęściły, dysząc, stękając od nadmiaru mieszkańców. Klucz leżał w szczelinie muru, gdy weszli, wionęło wilgocią, sufitu Karolcia nie miała żadnego, zaraz nad łóżkiem schody.

Nie świecili, — świecił księżyc zimowy. Lenora usiadła na łóżku cicho, posłusznie. Tadeusz przy niej. Siedzieli i siedzieli, spleceni dłońmi, póki innym głosem, niż wszystko, co z jej ust słyszał dotąd, nie wyrzekła nagle: —

— Tadzio...

Wyrzekła i wtedy skłonił głowę na jej ramieniu. Zasnęli, zbudzili się, — straszny hałas dudnił na schodach. Tadeusz ogarnął ramieniem Lenorę, mieli kochać się, nie wiedzieć co wyrabiać, — gdy oto, jakby jeszcze wyższe szczęście odebrało im siły...

— Lenora, — westchnął Tadeusz. Objęli się i naciągnawszy na siebie truchło poszarpanej kołdry, zasnęli twarz przy twarzy, razem do księżycy.

Karolcia Domagała przeprosiła ich w swoim czasie, — przyszedłszy z miasta, czy z drogi, bardzo zmęczona.

Rzecz zrozumiała.

Podziękowali, poszli wzdłuż stawów, oszronionemi kładeczkami. Z dobroci swego snu sądzili, iż musi być już bardzo późno. Druga, — trzecia, może nawet po trzeciej godzinie?

Lenora nic nie mówiła do samej chaty Szymczyków.

Tadeusz, — nic.

Na progu dopiero, padli sobie nagle w objęcia, Lenora po gwiazdach przybladłych orzekła na pożegnanie, — że to już chyba koło czwartej godziny nad ranem. Wpatrzyli się w firmament. Podparła ręką brodę i zaspanym głosem powiedziała przez mroźne powietrze—:

— Co się też może śnić, naprzykład, takim gwiazdom, tego nikt chyba nie wie, — nigdzie? — Dobranoc.

Znikła za drzwiami.

Mieniewski ruszył biegiem, niby do ataku, do szturm, czy też posłany przez kogoś z wiadomością pilną niezmiernie. Gonił i gonił. Minał całe Zielone, wzdłuż parkanów gnał aż do ulicy Błotnej.

Zrobił ze cztery kilometry.

Na Błotnej, poznał dom właściwy po gołębniku. Dobił się do Martyzelów. Otworzyła sama Martyzelka, wystraszona. Mąż spał, ale któż mógł wiedzieć, co jutro przyniesie?....

Tadeusz machnął ręką, nie podziękował za otwarcie drzwi, — miał interes do Dusia. Nic złego, dobry interes, ale pilny.

Duś spał za przepierzeniem. Obudzony zerwał się na równe nogi. Buchało od niego zdrowem ciepłym.

Tadeusz usiadł na łóżku, objął za szyję przyjaciela i rzekł, zamykając oczy —:

— Ty, — wiesz? Żyję z Lenorą. Z twoją siostrą. Mówię ci, byś wiedział. Musisz to wiedzieć odemnie.

Pocałował sygnalistę w czoło i dodał—: Trzeba mi będzie jakichś innych papierów.

Wyrzucił paszport z kieszeni.

— Słuchaj, Duś! Pomożesz mi znaleźć jaką pracę? Głupią, — wszystko jedno. Co?

Trzymając się za rękę, popatrzyli sobie w oczy. Tadeusz dodał — : Zostaję.

K O N I E C .